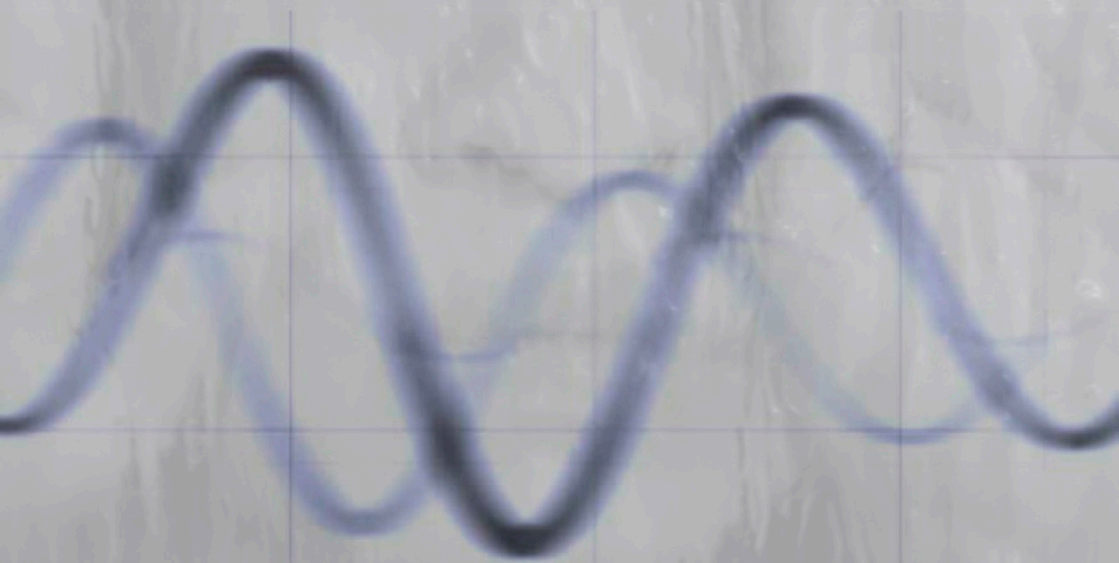


Piotr Jakub Karcz



ODWRÓCONA
ODMROCONA
SINUSOIDA
ADIOSUNIS

Piotr Jakub Karcz

Odwrócona Sinusoida

© Copyright by Piotr Jakub Karcz & e-bookowo

Projekt okładki: Piotr Jakub Karcz
Skład: Ilona Dobijańska

ISBN: 978-83-8166-047-1

Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.
Wydanie I 2019

Mojej żonie, Agacie...

Zalążek opowiedzianej tutaj historii
zrodził się w mojej głowie w roku akademickim 2002/2003,
gdy jako student Erasmusa przechadzałem się tymi samymi uliczkami
Clermont-Ferrand co Damien czy Pierre.

Dziękuję rodzinie i przyjaciołom za wsparcie i cierpliwość.

Chciałbym również podziękować Mirosławowi Żelentowi,
posiadającemu niezwykle dar tłumaczenia skomplikowanych
zagadnień matematycznych na język zwykłych ludzi,
za zgodę na wykorzystanie fragmentu pracy na temat liczb pierwszych.

K S I Ę G A P I E R W S Z A

Z Ł O T A
SINUSOIDA

Prolog

Lyon, 16.10.2000 r.

Nad drapaczami chmur La Part-Dieu wolno przepływały obłoki, tworząc nieustannie zmieniające się, zawile kształty. Przebijający przez nie blask księżyca barwił je różnymi odcieniami granatu i błękitu, wydzierając je z nocnej czerni. Najnowocześniejsza dzielnica Lyonu zasypia dopiero późną nocą. Nie wszyscy jednak udają się na spoczynek. Niektórzy nie mogą, inni po prostu nie chcą...

Stał przy dźwiękoszczelnym oknie pracowni, wpatrzony w niebo. Zgodnie ze swoim naturalnym odruchem, nie odrywając myśli od wątku, nad którym pracował, automatycznie analizował krzywe geometryczne chmur. Zwykli ludzie widzieli po prostu kształty, ale on postrzegał wzory definiujących je funkcji.

Nie jadł od dwunastu godzin, nie spał co najmniej dwa razy tyle. Jego pracujący na najwyższych obrotach umysł po prostu wyłączył zewnętrzne bodźce i zahamował większość potrzeb fizjologicznych.

Książki stały równo ułożone w regałach, uporządkowane zarówno względem wielkości, jak i koloru okładki. Cała pra-

cownia sprawiała wrażenie minimalistycznej galerii sztuki z dużą ilością przestrzeni, z której usunięto wszystkie wystawiane prace. Bez pomazanej tablicy, bez maty z przypiętymi notatkami. Biurko niemal puste, znajdowały się na nim tylko klawiatura i notatnik. Nie było żadnych ozdób. Obrazy przecież pobudzały emocje, zdjęcia – przywoływały wspomnienia, które tak bardzo rozpraszały, a on musiał być skupiony.

Cisza. Koncentracja. Porządek uspokajał go, dawał poczucie bezpieczeństwa. Aurélien usiadł przy biurku. W okularach odbijał się obraz szklanego monitora. Używał białych znaków na czarnym tle, ponieważ jasność ekranu po wielu godzinach była dla jego wzroku niczym ostra igła. Ból przecież odwracał uwagę od tego, co istotne.

Płynęły godziny, a naukowiec pracował bez chwili spoczynku. Dziwne, doprawdy, jak głośny potrafi być dźwięk komputerowego wentylatora. Pospieszne notatki. Zmiana parametrów programu. Czekanie i wydruk. Analiza wyników. Niszczarka. Kolejna zmiana parametrów. Czekanie... Wydruk... Niszczarka... Nagle olśnienie! Parametry, parametry! Czekanie... Dlaczego nic się nie dzieje? Wydruk...

Aurélien chwycił kartki trzęsącymi się rękoma. Porównał wyniki z jedynym, istniejącym wyłącznie w jego głowie równaniem i aż zadrżał. To był najważniejszy moment w jego życiu.

Pospiesznie, wręcz w panice chwycił telefon.

– Mam to! Mam!

Rozdział pierwszy

Pierre nerwowo i chaotycznie zakładał pierwszą lepszą wyciągniętą z szafy koszulę. Szybko i niedbale zapinał guziki. Był szczupłej budowy ciała, przez co nie wyglądał na swoje dwadzieścia pięć lat. Miał gęste, czarne włosy, które lekko się kręciły.

– Co się stało, kochanie? – szepnęła zaspana Emma. Jej potargane włosy sygnalizowały, że było jeszcze za wcześnie, aby wstać.

Naukowiec kochał jej śniadą cerę i duże zielone oczy. Kochał i chciał opowiedzieć o projekcie Auréliena, który zrewolucjonizuje światowy przemysł paliwowy, ale po prostu nie mógł. Powiedział tylko, że musi wyjść szybciej do pracy i pocałował w pół senną brunetkę w policzek.

Wybiegł z domu i ruszył z piskiem opon. Był podekscytowany i nie wiedzieć czemu przestraszony. Miał dziwne wrażenie, że w budynku naprzeciw pojawiła się w oknie czyjaś twarz. Jednak pośpiech zwyciężył z ciekawością i kierowca nie pofatygował się nawet zawrócić.

Było ślisko, widocznie kilka godzin wcześniej padał deszcz. Opuścił szybę i zapalił papierosa. Zwykle nie robił

tęgo w czasie jazdy, ale tym razem naprawdę się spieszył. Poza tym był zdenerwowany.

Tuż przy Moście Uniwersyteckim zwrócił uwagę na jadący za nim, podejrzanie wyglądający samochód. Przyglądał się mu dłuższą chwilę w lusterku, rozpraszając swoją uwagę do tego stopnia, że nie zauważył wchodzącej na ulicę kobiety z wózkiem dziecięcym. Przyspieszył, nie odrywając wzroku od jadącego za nim pojazdu. Odetchnął z ulgą na ułamek sekundy, gdy spostrzegł, że auto skręciło boczną ulicę. Wówczas dotarło do niego, że na samym środku przejścia dla pieszych znajduje się kobieta z wózkiem. Zwykle w tym miejscu jeździł sześćdziesiątką, ale tym razem miał na liczniku przeszło sto kilometrów na godzinę. Odruchowo nacisnął z całej siły hamulec. Wystraszona kobieta, oślepiona reflektorami samochodu znieruchomiała. Auto Pierra wpadło w poślizg i uderzyło lewym bokiem z niemal pełną prędkością w wózek, który odskoczył na kilkadziesiąt metrów. Oszołomiony zatrzymał się tuż przed nim, wśród oparów płonącej gumy. Co gorsza – widział wypadające z wózka niemowlę, uderzające w asfalt. W pierwszej chwili chciał w panice uciekać, ale odrzucił tę myśl. Wysiadł z samochodu. Nogi trzęsły mu się tak bardzo, że z trudem utrzymywał równowagę. W głowie pulsowało ciśnienie, jakby zaraz miał eksplodować. Bał się podejść do dziecka.

Uprzedziła go kobieta, która jakimś dziwnym trafem wyszła z wypadku bez szwanku. Podbiegła w panice do leżącego na ziemi niemowlaka i chwyciła go w ręce. Pierre podszedł bliżej. Miał nadzieję, że wszystko jest tylko złym snem i że się za chwilę obudzi. Tak się jednak nie stało.

Zobaczył twarz matki. Była zdeformowana, jak w krzywym zwierciadle. Rogówki jej oczu były matowe i niemal zupełnie białe. Sprawiała wrażenie, że w ogóle nie ma źrenic. Gdy na nią spojrział, wydała z siebie tak przeraźliwy wrzask, jakby wstąpił w nią demon. Dopiero wtedy spo-

strzegł, że to jakaś obłąkana, najprawdopodobniej bezdomna kobieta, która miała w ręku nie dziecko, tylko lalkę.

*

– Zgaś papierosa – powiedział opanowany Aurélien Marsat, gdy jego asystent wszedł do pracowni. Znał go na tyle dobrze, że domyślił się, że powodem jego zdenierwowania była nie tylko rozmowa telefoniczna. Nie pytał jednak o nic. Podał mu tylko ostatnie wydruki. Pierre był w takim stanie, że z trudem się uspokajał. Ręce mu się trzęsły. Zgasił niedokończony papierosa i czytał wyniki. Podszedł do swojego biurka. Naniósł kilka punktów na osie współrzędnych i poprowadził przez nie krzywą. Nie dowierzał, sprawdzał punkt po punkcie, czy krzywa przez nie przechodzi. Po chwili wrzasnął:

– Zrobiłeś to! Kurwa, ty to naprawdę zrobiłeś! Rozpisałeś równanie odwróconej sinusoidy!

– Tak – odrzekł spokojnie Aurélien, patrząc w oczy asystenta. – Wiesz, co się stanie, gdy to opublikuję?

– Dostaniesz nobla!

– Albo kulkę w głowę...

*

Paryż, 04.11.2000 r.

Międzynarodowa konferencja klimatyczna „Éternel 2000”, poświęcona prawie w całości niekonwencjonalnym źródłom energii, przyciągnęła do nowoczesnej dzielnicy Paryża La Défense ogromną rzeszę naukowców i jak często zdarza się w takich okolicznościach, jeszcze większy tłum ekosceptyków.

– Te oszołomy z transparentami zaraz tu wejdą! – wrzeszczał Christain Coysevox, właściciel reasearch labu „L’innovation”, który zatrudniał między innymi Auréliena i Pierra.

Masywny, bardzo pewny siebie człowiek, o wylupiastych, szarych oczach stał przy oknie, przyglądając się protestującym demonstrantom.

– Spokojnie, pokrzyczą i pójdą sobie do domu – uspokajał szefa Pierre. Tak naprawdę uważał go za idiotę. Nie chodziło nawet o pieniądze, pomijając fakt, że Christain, miał na sobie garnitur, który kosztował więcej, niż Pierre zarabiał przez rok. Po prostu młody naukowiec kochał to, co robił, a jego szef patrzył wyłącznie na profity. Entuzjazm, który przyświecał przesuwaniu granic nauki Christainowi był zbliżony do zaangażowania aktorek filmów porno w dialogi.

– Patrz na tamtych, w maskach gazowych biegają, psychochole... Aurélien to ma w ogóle zamiar tutaj przyjechać? Za godzinę mamy zacząć konferencję, a jeszcze go nie ma?

– Zaraz pewnie będzie...

– Pierre, jakby co, zaczniesz bez niego...

– Ja? Przecież mówiłem szefie, że jestem tylko asystentem. Pracowaliśmy wprawdzie razem nad tym projektem, ale kompletne równanie odwróconej sinusoidy zna tylko profesor! Jedynie on może ogłosić to światu!

– Za co ja Ci płacę? Za co? Za przynoszenie fastfoodów Aurélienowi? Myślałem, że jesteś naukowcem, a nie debilem!

Pierre zdenerwował się. Wyszedł na korytarz, do palarni. Znowu ogarnęło go dziwne uczucie strachu. Wydawało mu się, że mijający go ludzie patrzą na niego dziwnym wzrokiem. Wyciągnął drżącą ręką paczkę papierosów i nagle... dostrzegł idącą na schodach obłąkaną kobietę, której omal nie zabił trzy tygodnie wcześniej w Lyon. Spojrzała na niego swoim trupio bladym wzrokiem, pokazując mu palcem gest poderżniętego gardła. Zadrżał, ale odruchowo pobiegł w jej kierunku. Gdy był już na piętrze, na którym znajdowała się przed chwilą, spostrzegł tylko rąbek jej mocno sfałgowanej kurtki, który mignął mu w wyjściu. Wiedział, że to nie złudzenie. Był pewny, że tam była! Wybiegł na zewnątrz, ale jedyne, co zobaczył i usłyszał, to manifestujący tłum, głośno wykrzykujący ekologiczne hasła. Chaotycznie

wbiegł w sam środek protestujących ludzi, szukając pośród nich tajemniczej kobiety. Nagle ktoś z tłumu wyczytał jego imię z identyfikatora przypiętego do garnituru i pokazując palcem, krzyczał „Pierre Bossuet! Kłamca! Morderca!”. Tłum zawrzał, napierając na młodego naukowca ze wszystkich stron. Ktoś chwycił go za poły marynarki i szarpnął. Pierre z trudem oswobodził się z brutalnego uścisku i ruszył w stronę budynku, z którego przed chwilą wybiegł. „Tchórz! Morderca!” – słyszał w oddali.

Na korytarzu podszedł do niego Christain. Spojrzał mu głęboko w oczy i powiedział:

– Aurélien miał wypadek. Nie żyje!

*

Lyon, 24.11.2000 r.

Wysokie drzewa kołysane powiewami wiatru, płakały żółtymi liśćmi, które rozsypywały się na chodnikach nowego cmentarza w Guillotière. Dzisiaj prócz nich ronił łzy tylko Pierre i trzymająca go mocno za rękę narzeczona. Nad jasną trumną zebrała się cała kapituła Akademii Lyonńskiej, w której przed laty zasiadał profesor Aurélien Marsat. Przemawiał nawet sam Raymond Barre – naukowiec i mer Lyonu, który z właściwą sobie dyplomatyczną przesadą wypowiedział się o zmarłym, określając go mianem przyjaciela. Obecna była również telewizja i spora grupa dziennikarzy.

Paparazzi i obiektywy o długich ogniskowych dekoncentrowały Pierra i wzbudzały poczucie zagrożenia. Przewyciężył jednak swoją słabość. Była to po części zasługa zażytych przed kilkoma godzinami leków psychotropowych. Wszedł na mównicę, wziął głęboki oddech i zaczął:

– Pamiętam, gdy w podstawówce narysowałem pierwszy w życiu wykres funkcji. Czuję do dzisiaj tę cudowną fascynację i radość. Niestety w parze z tym przyszło od razu niezrozumienie kolegów ze szkolnej ławki. Tak naprawdę

musiałem wybrać: albo pasja, albo znajomi. Podobnie mój nauczyciel i mentor, najbliższy i jedyny przyjaciel Aurélien, często zmagał się z podobnymi problemami. Ostatecznie poświęcił się w całości karierze naukowej. Nie miał nikogo bliskiego, nie założył rodziny, nie miał dzieci. Pamiętam jeden z pierwszych wykładów, gdy jako młodzi studenci wymyślaliśmy złożone wzory funkcji, a profesor rysował z głowy ich wykresy. Robił to oczywiście na naszą prośbę, ponieważ był zbyt skromny, żeby sam z siebie popisywać się wiedzą. Jeśli coś robił, to zawsze dla dobra nauki, a nie dla rozgłosu. Był człowiekiem zamyślonym i bardzo skromnym. Po prostu nie potrafił nic nie robić. Często powtarzał, że życie jest zbyt krótkie, aby zrobić w nim wszystko, co ważne. Dlatego twierdził, że trzeba wybrać jedną, najważniejszą rzecz i oddać się jej bez reszty. Jak sami widzicie, los pokazał, jak bardzo miał rację. Nie zapomnę nigdy chwili, gdy pierwszy raz wszedłem do gabinetu Auréliena. Zobaczyłem spokój w jego oczach, skrytych za szklami okularów. Zobaczyłem ten idealny porządek, ten minimalizm i człowieka w pełni skupionego na realizacji swojej pasji. Wtedy zrozumiałem, że to jest właśnie cel mojego życia – pracować wraz z nim. Jest jednak jedna rzecz, która odróżnia mnie i nas wszystkich od profesora Marsata. My możemy być co najwyżej w czymś dobrzy, a on był geniuszem. Kimś, kim żaden z nas nie będzie nigdy...

Pierre otarł łzy i zszedł z mównicy. Przytulił Emmę. Oglądał wraz z przybyłym tłumem, jak jasna trumna w akompaniamencie orkiestry dętej spoczęła na dnie czarnej otchłani. Wiatr niósł dźwięk na wszystkie strony. Na sztandarach powiewały trójkolorowe flagi Francji i granatowo-czerwone z białym lwem pośrodku.

Po ceremonii Christain Coysevox poprosił Pierra na stronę.

– Utopiłem w tym projekcie pół miliona franków. Co zy-

skalem? Nie mam ani patentu, ani nawet równania. A ty, kreujesz się na wielkiego przyjaciela, a tak naprawdę nic nie wiesz...

– Christain, proszę, nie teraz. Uszanuj pamięć Auréliena.

– Wiesz, myślę, że „L’innovation” to nie jest miejsce dla ciebie...

– To znaczy, że... odsuwasz mnie od projektu?

– Nie odsuwam, ja cię po prostu wypierdalam!